

10 alkoholi, które najbardziej wypłynęły na moje życie

10 alkoholi, które najbardziej wypłynęły na moje życie. Kolejność chronologiczna.

1. Piwo tyskie - sam aromat.

Smak piwa poznałem we wczesnej podstawówce. Dokładnie niestety nie pamiętam. Kupowałem ojcu w budce z piwem. Piwo było w krachlach, więc po drodze z każdej butelki (zwykle było ich sześć) wypijałem po łyczku. Ale wyłącznie dla smaku. Alkohol wtedy jeszcze mnie nie pociągał.

Dopiero w ogólniaku zacząłem popijać regularnie. Opisywałem to już kiedyś. Tu powtórzę. Wszystko przez „Dni filmu radzieckiego”. W drugiej klasie ogólniaka, w przeddzień przymusowego pójścia do kina, Sołtys zaproponował, żebyśmy sobie kupili po piwku, to będzie ciekawiej. No i było, bo odkapslowanie butelki i wypicie piwa pod okien nauczycieli dostarczyło nam mnóstwo pozytywnych emocji.

Na następne wyjście, kilka dni później, kupiliśmy po więcej piw na twarz (chyba po trzy). I wybraliśmy lepsze miejsca do siedzenia, za filarem. Wybraliśmy za dobrze, bo nauczycielki też upatrzyły sobie te miejsca i nas stamtąd przegoniły. No to się obraziliśmy.

Demonstracyjnie wyszliśmy z kina. Piwa wypiliśmy obok nieużywanego basenu przeciwpożarowego. I dopiero nad tym basenem dokonaliśmy odkrycia na miarę Archimedesesa: możemy pić piwo i bez Dni Filmu Radzieckiego!

Od tego czasu ja i Dąbek (inni się bali pić w szkole) przynosiliśmy tak z raz na miesiąc (im bliżej do matury, tym częściej) po sześć piw i trąbiliśmy je w kanciapie (jak ktoś nie wie, co to była kanciapa, niech się dowie) przed pierwszą lekcją i na przerwach*.

2. Ajerkoniak.

Ojciec robił najlepszy ajerkoniak na świecie. Dużo utartych żółtek, trochę mleka i tyle spirytusu, żeby całość miała około 60%. Piło się to cudnie, na wszystkich rodzinnych imprezach. A potem sam zacząłem robić ajerkoniak według receptury ojca.

3. Domowa nalewka śliwkowa.

W domu zawsze stał gąsior ze śliwkami w spirytusie. Śliwki służyły do deserów. Zalewę uzupełniało się spirytusem do odpowiedniej mocy (zgadnijcie: jakiej?). Nalewka była bardzo słodka, przez co wydawała się nie tak mocna, jak naprawdę była. Wszyscy uczestnicy rodzinnych uroczystości niby o tym wiedzieli, ale i tak zwykle dochodziło do zdarzeń, o których się potem długo w rodzinie dyskutowało.

4. Wiśniówka.

Pierwszy raz wódką upiłem się w siódmej klasie, ale to był jednorazowy wypadek i w sumie się nie liczy. Gdy chodziłem do ósmej klasy, mój starszy brat, który chodził do technikum, był przewodniczącym samorządu klasowego. Z każdej składki na kwiaty, prezenty itd. zawsze coś zostawało. Samorząd klasowy defraudował te pieniądze, kupował wódkę – zwykle wiśniówkę i konsumował u nas w domu, bo u nas do późna była wolna chata. Ja często łapałem się na te imprezy.

A w życiu dorosłym wiśniówki często używałem na imprezach, na których do picia były bełty. Reszta towarzystwa

piła z gwincika bełty, a ja - wiśniówkę.

5. Żyto. Mój główny - nie licząc piwa - trunek na studiach. Wtedy żyto było chyba najlepszą polską wódką, spisało dopiero pod sam koniec Gierka.

6. Stołowa. Wymyśliłem kiedyś hasło reklamowe: stołowa na każdym stole. Dzisiaj zbiłbym na tym fortunę.

Stołowa była paskudna jak sen, że się jest Jarosławem Kaczyńskim i ma się za żonę Beatę Kempę. Ale cóż, obowiązek wzywał. Mało było bardziej wyrafinowanych sposobów skracania sobie życia, niż picie ciepłej stołowej bez zagrychy.

7. Bełty.

W czasach szczeniackich wypilem może ze dwa bełty. Nienawidziłem tego świństwa. Z tego zresztą powodu - przynajmniej w części z tego powodu - mam uraz do teatru. W ogólniaku koledzy na wyjazdy do teatru zabierali bełty. Siedziałem podwójnie wyobcowany: trzeźwy i zmuszony do oglądania najgorszego teatru w Polsce (teatr im. Wyspiańskiego w Katowicach, lata 70.).

Dopiero na studiach zacząłem je pić w ramach filozofii życiowej pt. „wszystko trzeba pić”. Gdy pałętałem się po Krakowie z Dąbkiem i Adamczykiem, mieliśmy opracowaną recepturę, jak - dysponując budżetem bez dopłat z Unii - pogodzić dwa sprzeczne cele: szybko się upić i pić długo.

Receptura miała dwa zasadnicze warianty i nieograniczoną liczbę podwariantów.

Wariant 1. Najpierw połówka (lub dwie połówki) wódki. Wypijana dość szybko. Potem pod Płachtą piwka. Powiedzmy po pięć na twarz, gdy oczywiście było za co. Pite bez pośpiechu, ale też bez zbędnego gadulstwa, wiedzieliśmy, że dopiero w trzecim etapie nagadamy się do woli. A na końcu - nad Wisłą - po bełciku na twarz. Takiego jednego bełta piło się i dwie godziny, bo każdy łyk groził cofką.

Wariant 2. W odwrotnej kolejności: najpierw po bełciku, potem piwka - które wchodziły dużo wolniej niż bez tego podkładu - a na końcu, nad Wisłą lub w domu, wódeczka. Drugi wariant był lepszy w sezonie jesienno-zimowym.

Samymi bełtami upilem się może ze trzy razy w życiu. Siarkę wolałem jako źródło cennych dewiz dla gospodarki socjalistycznej. Ale parę marek bełtów zapamiętałem: perła tarnowska, „napój owocowy słodki”, no i oczywiście „wino marki wino”; w moich kręgach mówiło się na nie „wino wino”. Gdy mieszkałem z Dąbkiem na Olszy, mieliśmy tuż pod blokiem pawilon handlowy, w którym prawie zawsze było wino wino. Z całego Krakowa zjeżdżali się tu amatorzy tego trunku.

8. Spirytus z sokiem pomarańczowym lub grapefruitowym.

Moda na picie „drinków” opanowała studenterię krakowską gdzieś w roku 1976. Oczywiście po zmieszaniu obu składników dochodziło do reakcji egzotermicznej, która ścinała sok, wytrącając ohydne kłaczkę. No i bania robiła się wstrętnie ciepła. Ale na modę nie poradzisz.

9. Spirytus bez soku pomarańczowego lub grapefruitowego.

W pewnym momencie wpadłem w towarzystwo ludzi pijących spirytus na żywca. Duża jazda. Niezapomniane wrażenia. Był też łagodniejszy wariant tej dyscypliny sportowej, „spirytus młodzieżowy” - pod koniec lat 70. sprzedawano spirytus, który nie miał 96%, tylko mniej. Niestety, zapomniałem, ile tego było. Chyba 68, ale pewności nie mam. Ten się piło już prawie tak jak normalną wódkę. Prawie.

10. Wódka „strong”. Miała 45 gradusów. I te pięć gradusów różnicy robiło różnicę.

Jak widzicie, nie ma w moim wykazie żadnych nalewek na myszach ani innych takich wynalazków. Nie wierzę, że można z powodów innych niż snobizm pić whisky, brandy i te wszystkie inne świństwa. Pijcie i wmawiajcie sobie, że to naprawdę dobre, ale nie próbujcie tego wmawiać mnie.

W tym wykazie nie ma też szampana (którym uwielbiałem się upijać na bankietach już jako pan dziennikarz), drinka „biały niedźwiedź”, drinka „mieszane uczucia”, śliwownicy łąckiej, wódek rosyjskich, absoluta, finlandii i wielu innych trunków, które wpłynęły na moje życie, bo na listę trafiły tylko napitki z wczesnej młodości.

Nie będę nikogo wzywał do podania swojej listy, bo wiem, że temat jest wystarczająco atrakcyjny i na pewno znajdą się ochotnicy.

*

*Wspominałem już parę razy, że w ogólniaku z Dąbkim regularnie popijaliśmy piwo w szkole. Robiliśmy to w "kanciapie", rzadko używanym korytarzu, gdzie stały stare stoliki i inne szpeje. Kapsle wrzucaliśmy beztrąsko między te stoliki.

Kilkanaście dni przed maturą nauczyciele kazali nam zrobić porządek w kanciapie. Gdy odsunęliśmy stoliki, zobaczyliśmy dosłownie górę kapsli. Nikt inny nie miał odwagi pić w szkole, to był wyłącznie nasz urobek. Nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, że tak dużo się uzbierało.

Dzisiaj postanowiłem policzyć, ile tego mogło być.

Od drugiej klasy co miesiąc 12 piw. To daje 360 kapsli. Być może w jakimś miesiącu nie piliśmy, ale z kolei czasami piliśmy dwa razy w miesiącu. A w czwartej klasie coraz częściej, pod koniec zdarzało się, że nawet trzy razy w tygodniu.

Na pewno nie przeszacuję wyniku, gdy na czwartą klasę dam średnią dwa razy w tygodniu.

Czyli było tego jakieś 450-500 kapsli.

Spróbuję przy jakiejś okazji wykombinować 500 kapsli, rzucić na podłogę i sfotografować, żeby zobaczyć, czy to była taka górka, jaką zapamiętałem.

*

Notatka od redakcji: Tekst nieredagowany. Autor napisał go na fejsbuku w reakcji na modę na wymienianie 10 książek, które..., filmów, które... utworów muzycznych, które, 10 książek, których nie... itd. itp. i zgodził się na zamieszczenie go na Sofijonie jeden do jednego.